

Hrabyk, Klaudiusz

Wspomnienia, cz. VI

Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego 10/4, 497-523

1971

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

KLAUDIUSZ HRABYK

WSPOMNIENIA

W kolejnym fragmencie *Wspomnień* Klaudiusza Hrabyka Autor zajmuje się nadal okresem lwowskim.

POWRÓT DO „KURIERA LWOWSKIEGO”

Wiosną 1935 r. zwrócił się do mnie starosta grodzki, Romuald Klimow, z nieoczekiwaną sugestią. Zawiadomił mnie mianowicie, że Ubezpieczalnia Społeczna przedstawiła sądowi wniosek o wprowadzenie w „Kurierze Lwowskim” tak zwanego zarządu przymusowego, z powodu nie wpłaconych przez wydawnictwo 340 tysięcy zł należnych łącznie Ubezpieczalni ze składek pracowników i opłaty wydawnictwa na ubezpieczenie społeczne. Ponieważ wydawnictwo uchylało się systematycznie od płacenia należności, postanowiono skorzystać z przysługujących w takim wypadku przewidzianych uprawnień wierzyciela. Proces pogłębiającego się rozkładu partii wybitnie przyczyniał się do finansowego załamania w piśmie, przybierając nie notowane dotąd rozmiary. W styczniu 1935 r. na łamach „Kuriera Lwowskiego” Stanisław Grabski, którego wyjątkowo dopuszczano wtedy do głosu, odbył publiczną polemikę prasową ze Stanisławem Głębińskim. Tematem tego gorszącego starcia dwu przywódców na szpaltach pisma partyjnego była sprawa ukraińska. „Diło”, omawiając to wydarzenie, napisało wtedy złośliwie, że „obaj działacze i politycy dyskutują na temat, kto z nich jest większym kanibalem”.

Klimow, późniejszy Klimowiecki, poprzednio starosta w Sanoku, a po II wojnie sędzia w Polsce Ludowej, zapytał mnie, czy byłbym skłonny objąć zarząd przymusowy w wydawnictwie „Kuriera”, ponieważ sądzi, że byłoby to rozwiązanie lepsze aniżeli ustanowienie zarządcy wyznaczonego bezpośrednio przez czynniki rządowe. W każdym wypadku — dodał Klimow — zarząd będzie ustanowiony, wobec czego uważa on za swój obowiązek najpierw podjąć w tej sprawie konsultację ze mną jako byłym współredaktorem „Kuriera Lwowskiego”. Odpowiedziałem Klimowowi,

że moja kandydatura na zarządcę przymusowego z ramienia nawet sądu, a tym bardziej wniosku Ubezpieczalni Społecznej nie może w ogóle wchodzić w rachubę i że dziękując za propozycję, muszę ją jednak stanowczo odrzucić. Natomiast gotów jestem zastanowić się z przyjaciółmi i przedstawić inną kandydaturę, o ile sprawa w tej sytuacji byłaby nadal aktualna.

Odbyliśmy we trójkę ze Stahlem i Starzewskim bardzo gruntowną dyskusję i doszliśmy do wniosku, że nie należy rezygnować z sugestii Klimowa. Z różnych względów uznaliśmy bowiem możliwość objęcia „Kuriera” za słuszne i celowe rozwiązanie. Po pierwsze — rozumowaliśmy — jeżeli odrzucimy propozycję, czynniki rządowe wprowadzą do wydawnictwa innego zarządcę; prawdopodobnie będzie nim mąż bezpośredniego zaufania sanacji, który pismo wykorzysta dla swoich jednostronnych celów. Z punktu widzenia politycznego nie odnosząc żadnych korzyści, pośrednio przyczynimy się do oddania pisma w niewiadome ręce z obozu sanacyjnego, sami pozostając na boku. Jeżeli natomiast przejmie pismo, wyłącznie od nas będzie zależało, jaki nadamy mu kierunek. Z punktu widzenia moralno-politycznego uznaliśmy decyzję przejścia pisma za problem bezsporny, ponieważ nie stawaliśmy się jego właścicielami, którym byłaby nadal endecja, a naszym zadaniem miało być tylko uzdrowienie stosunków finansowych wydawnictwa i spłacenie długów należnych Ubezpieczalni, po czym wróciłoby ono pod zarządek swoich właścicieli. Postanowiliśmy zatem zająć się tą sprawą, z tym jednak, że pismu odejmiemy ostrze skrajności partyjnej, natomiast nie będziemy go wykorzystywali ani do celów politycznych naszej grupy, ani sanacji. Zdecydowaliśmy ograniczyć rolę dziennika przede wszystkim do zadań informacyjnych, natomiast w ogólnych sprawach ideologicznych utrzymać linię dotychczasową, a w sprawach bieżącej polityki przyjmując stanowisko ściśle rzeczowe bez angażowania pisma w sporne problemy pomiędzy sanacją a opozycją.

W rozważaniach uznaliśmy również za okoliczność nie obojętną, że przyjmując pismo chociażby na ograniczony okres, pozbawiamy endecję jej głównego narzędzia propagandy i stworzymy dla naszej grupy wzmocnione szanse szerszej inicjatywy. Zdecydowaliśmy nie zwalniać żadnego z dotychczasowych współpracowników dziennika oprócz redaktora naczelnego i tych oczywiście współpracowników, którzy sami zgłoszą dymisję. Ustaliliśmy, że obejmę redakcję naczelną nie ujawniając tego na zewnątrz, a sprawami administracyjnymi zajmie się Starzewski. Ponadto postanowiliśmy zasięgnąć opinii Grabskiego i zapewnić sobie współpracę Świrskiego jako publicysty. Grabski w całości poparł nasz pogląd i uznał projekt pisma za uzasadniony i słuszny. Zapewniliśmy sobie wówczas współpracę również Stanisława Grabskiego.

Na mój wniosek postanowiliśmy jako kandydata na zarządcę przymusowego przedstawić z naszego ramienia Aleksandra Błażejowskiego, byłego redaktora „Gońca Krakowskiego” w latach dwudziestych, obecnie już adwokata stale przebywającego we Lwowie. Jego kandydatura ze względu na praktykę i doświadczenie dziennikarskie Błażejowskiego, który równocześnie był prawnikiem, wydawała się najbardziej stosowna w tej sytuacji. Odbyłem rozmowę z Błażejowskim, z którym nadal od czasów krakowskich łączyły mnie bliskie i przyjazne stosunki, i wyraził on zgodę na moją propozycję. W tej formie przedstawiłem Klimowowi nasze stanowisko, które zostało bez zastrzeżeń aprobowane.

W dniu 14 maja Błażejowski w towarzystwie Starzewskiego zgłosił się do redakcji „Kuriera Lwowskiego” z pełnomocnictwem sądowym jako zarządca przymusowy i zawiadomił, że obejmuje wydawnictwo. Przejęcie odbyło się bez większych incydentów. Matyasik był nieobecny, nie zjawił się i potem w redakcji, natomiast ówczesny sekretarz redakcji Władysław Pańczak założywszy werbalny protest, redakcję opuścił. Wszyscy inni współpracownicy pozostali na miejscu pracy i zgłosili gotowość lojalnego współdziałania z nami. Nazajutrz zjawiłem się w redakcji i objąłem funkcję redaktora naczelnego. W ten sposób znalazłem się na nowo w redakcji, z której musiałem zrezygnować półtora roku temu wśród znanych okoliczności.

Dnia 29 maja ukazał się w „Kurierze” komunikat redakcji następującej treści: „Ustanowiony przez Sąd na żądanie wierzycieli zarządca przymusowy, redaktor naczelny szeregu narodowych czasopism, Aleksander Błażejowski, biorąc pod uwagę interesy zarówno właścicieli pisma, jak i wierzycieli, nakazujące podniesienie poziomu i poczytności »Kuriera Lwowskiego«, zwrócił się do grupy byłych współpracowników tego pisma, z długoletnim redaktorem i jednym z założycieli pisma drem Władysławem Świrskim na czele, o współpracę na łamach dziennika. Najżywotniejszym zagadnieniem na tym terenie jest przede wszystkim program zjednoczenia sił polskich celem wzmocnienia naszego stanu posiadania na wszystkich odcinkach życia narodowego. W tym zresztą jedynie celu i z tą myślą powołaliśmy lat temu siedem »Kuriera Lwowskiego« i do tej jego tradycji, którą pismo przez szereg lat chlubnie reprezentowało, obecnie tylko powracamy”.

Nazajutrz ukazał się drugi komunikat kierownictwa „Kuriera”, w którym zawiadamialiśmy, że „współpraca prof. Stanisława Grabskiego [na łamach pisma] została w 1934 r. przerwana z przyczyn od prof. Stanisława Grabskiego niezależnych. Dzięki inicjatywie obecnego kierownictwa redakcji »Kuriera Lwowskiego« artykuły prof. Stanisława Grabskiego wracają znów na łamy dziennika”. Tego dnia opublikowaliśmy pierwszy artykuł Grabskiego pt. *Potrzeba wielkiego programu*. Jako wy-

dawca figurował nadal Dominik Maciejko reprezentujący endecję jako właściciele pisma, natomiast w miejsce Mariana Ostrowskiego, dotychczasowego redaktora odpowiedzialnego, podpisywał „Kuriera” Stanisław Starzewski. Nie wymienialiśmy natomiast redaktora naczelnego. Objętość pisma została zmniejszona. Na jego łamach w naszym okresie przez cały czas pisywali m. in. W. Hausmann (recenzje muzyczne), I. Łozińska, J. K. Stanisławska (recenzje plastyczne), J. Bieniasz (powieść *W puszczy nad Salatrukiem*), J. Liwoczyński, prof. W. Hahn, H. Łubieński, S. Pilch, A. Grobicki, prof. L. Piniński, J. Kudella, B. Nuzikowska, M. Piszczkowski, J. Mayer, K. Rychłowski, L. Daniluk, L. Kaltenbergh i inni.

Zdawaliśmy sobie sprawę, że przyjmując odpowiedzialność materialną i polityczną za pismo, bierzemy na siebie szczególnie ciężkie zadanie. Wprawdzie spotkaliśmy się z życzliwym przyjęciem zespołu redakcyjnego i administracyjnego, z którym mnie osobiście, podobnie jak Starzewskiego jako byłego sekretarza redakcji, łączyły jak najlepsze i nie naruszone stosunki, ale na zewnątrz mieliśmy przed sobą partię, która w stosunku do nas nie żywiła uczuć przyjaznych. Należało liczyć się z gwałtowną kontrakcją.

Tymczasem przystąpiliśmy bez zwłoki do uzdrawiania finansów wydawnictwa, które przedstawiały się opłakanie. Pierwszym krokiem było zredukowanie poborów za zgodą zespołu, któremu przedstawiliśmy poważną sytuację. Sami ograniczyliśmy własne pobory do sum symbolicznych i wielokrotnie niższych od dotychczas przewidywanych w budżecie. Przeprowadziliśmy bezzwłocznie szereg nieodzownych oszczędności w wydatkach, w oparciu o plan, który w możliwie najkrótszym czasie pozwoliłby na praktyczne spłacenie długów.

Dla endecji nie przewidywane w najbardziej nawet ponurych perspektywach wejście nasze do redakcji, a przede wszystkim objęcie w niej batuty przeze mnie były nie tylko zupełnym zaskoczeniem, ale również kwestią w najwyższym stopniu urażonej ambicji i nieoczekiwanej porażki. Dlatego zdecydowano się na krok samobójczy. Władze partii zarządziły mianowicie bojkot pisma, polecając masowo wypowiadać prenumeraty i nie kupować pisma w kioskach. Ponieważ zdecydowana większość nakładu, zresztą stosunkowo niewielkiego, liczącego niewiele ponad 4 tys. egzemplarzy, opierała się na bazie partyjnej, bojkot pozbawił pismo olbrzymiej większości czytelników, czyli jednego z głównych źródeł wpływów finansowych. Ponieważ zaś istniał tylko zarząd przymusowy i wydawnictwo nie było naszą własnością, nikt nie był zainteresowany w angażowaniu choćby najmniejszych pieniędzy na pokrywanie deficytu. Nie byliśmy zainteresowani w tym jako grupa sprawująca z Błazejowskim funkcje wynikające z przymusowego zarządu; nie był zainteresowany nikt inny spoza nas, ani też my nie mogliśmy do nikogo

zwracać się o jakiegokolwiek wkłady finansowe, ponieważ w zamian nie można by ofiarować chętnym udziału we własności wydawnictwa. Nie był również zainteresowany w tej sprawie rząd lub Ubezpieczalnia Społeczna jako wierzyciel, który nie miał żadnego powodu, aby zamiast spodziewanej spłaty długu wprowadzać do wydawnictwa będącego cudzą własnością jakiegokolwiek fundusze. W ten sposób znaleźliśmy się w sytuacji bez wyjścia, ale w podobnym położeniu znalazło się również wydawnictwo dobite przez swoich właścicieli. Pomysł bojkotu pisma — jak się okazało — zrodził się u Pierackiego i Tarnawskiego, dla których objęcie redakcji przez nas, ale szczególnie przeze mnie, było sprawą jeszcze jednej, najcięższej porażki nie tylko politycznej, ale i osobistej. To popchnęło ich do lekkomyślnej decyzji bojkotu. Gdyby byli zdecydowali się naszymi rękami i wysiłkiem przyczynić się do jak najszybszego spłacenia długów i pozbycia się zarządu przymusowego, byłiby pismo prędzej czy później odzyskali, a mówiąc nawiasem, obawialiśmy się tego rodzaju zbyt szybkiego uzdrowienia sytuacji pisma. Zaważyły jednak u naszych partnerów namiętności, zamiast rozsądku i równowagi; pozwalających stworzyć do końca przemyślany plan.

We wrześniu 1935 r. odbywały się pierwsze wybory zarządzane na podstawie nowej ordynacji wyborczej Walerego Sławka, powszechnie i solidarnie zbojkotowane przez opozycję. Udział w wyborach był słaby. We Lwowie na 118 tys. uprawnionych głosowało zaledwie 40 tys. wyborców. Wybrani zostali do Sejmu: znany ekonomista Władysław Byrka i prezydent m. Lwowa, lekarz Stanisław Ostrowski oraz przedstawiciel mieszczaństwa Gustaw Pammer. Zespół nowych posłów nie był zbyt fortunny, ale nie był także najgorszy.

Endecja wskutek udziału w bojkocie wyborów nękana wewnętrznym rozbitiem i rozłamem, który przybrał potężne i ogólnokrajowe rozmiary, na gruncie lwowskim pozostając bez organu prasowego, znalazła się w tym okresie nie tylko w całkowitym impasie, ale też jej dotychczasowe kierownictwo, łącznie z tajną organizacją, straciło kontrolę nad własnymi poczynaniami. Akcja była prowadzona na ślepo i wybitnie pod wpływem chwilowych, nie przemyślanych odruchów.

Do jakiego stopnia nie były one kontrolowane i hamowane, potwierdził wypadek, jaki zdarzył się w czerwcu podczas Zielonych Świąt. Korzystając z przerwy w pracy nieznanemu sprawcy, wśród nie wyjaśnionych okoliczności, wymontowali i zabrali z drukarni „Kurieria” części składowe linotypów, unieruchamiając w ten sposób maszyny. Wprawdzie można się było domyślić, że dokonał tego przestępstwa jeden ze współpracowników, ale trudno było w pierwszej chwili ustalić sprawcę, natomiast najpierw należało zapobiec szkodzie. Zwróciliśmy się kolejno do poszczególnych drukarni z prośbą o wypożyczenie brakujących części i uzyska-

liśmy je tego samego dnia w drukarni syjonistycznej „Chwili”, która z największą życzliwością udzieliła nam pomocy. Ten gest miał dla nas dużą wymowę, a ponadto świadczył o solidarności i koleżeńskiej współpracy pomiędzy dziennikami, niezależnie od ich kierunków i tendencji. Uruchomiliśmy bezzwłocznie linotypy i ku zdumieniu endeków wydaliśmy nazajutrz normalny numer. Policja w kilka dni później aresztowała sprawcę włamania i kradzieży części linotypowych w osobie naszego korektora, a równocześnie kierownika ekspedycji Leszka Bobowskiego, jak na ironię studenta prawa. Pozostawił on w hali maszyn swoje ślady, co ułatwiło pracę organów policyjnych. Było jednak rzeczą oczywistą, że Bobowski jako czynny działacz endecki był tylko ślepym wykonawcą dyspozycji, która wyszła z wiadomych kół.

Na zewnątrz nie ujawnialiśmy oczywiście ciężkiej sytuacji finansowej pisma. Podczas każdorazowej sesji sądu Starzewski, zdając sprawozdanie finansowe zarówno sądowi, jak i obecnemu na sesjach Pierackiemu jako rzecznikowi właścicieli wydawnictwa, niezmiennie oświadczał, że istnieją wszelkie szanse, że finanse pisma zostaną zrównoważone i długi będą spłacone. Pieracki i jego towarzysze spodziewali się natomiast przy pomocy zastosowanej presji zmusić nas do zrzeczenia się zarządu przymusowego, co zresztą nie rozwiązywałoby sytuacji, ponieważ wprowadzony byłby nowy zarządca. Zdecydowaliśmy dlatego nie ustępować wobec wydanej nam kampanii. Rozumiejąc beznadziejność sytuacji, zaczęliśmy jednakże zastanawiać się nad dalszym ciągiem sprawy.

Redagowałem pismo zgodnie z przyjętymi zasadami. „Kurier” był nadal pismem reprezentującym zasadniczo dotychczasową linię, ale w aktualnych problemach politycznych wypowiadaliśmy opinie w sposób umiarkowany, nie unikając przy tym akcentów opozycyjnych w stosunku do rządu i sanacji. Stanisław Grabski rozwijał niezmiennie swoje teorie gospodarcze i pisał m. in.: „Mieliśmy, dzięki Bogu, do niedawna 500 tys. rocznego przyrostu ludności. W ostatnich latach maleje on wskutek powszechnej biedy. Wynosi jednak jeszcze 400 tys. Jeśli mamy być wielkim mocarstwem, musimy ten nasz przyrost naturalny utrzymać. Ale żeby go utrzymać — trzeba mu dać pracę i zarobek. Co więcej, trzeba w ciągu najbliższych kilku lat zatrudnić obecnych bezrobotnych. A jest ich naprawdę co najmniej 800 tys. Powinniśmy być zatem w stanie w ciągu najbliższych 8 lat stwarzać nowe zarobki dla co najmniej 300 tys. ludzi. Niełatwy to do wykonania program, a jednak musimy go wypełnić”.

Artykuły wstępne na zmianę pisaliśmy we trzech: Świrski, Stahl i ja. W jednym z artykułów pisałem m. in. w związku z zapowiedzianą redukcją poborów urzędniczych: „Człowiek, któremu w dniu 1 grudnia odbierze się część jego zapracowanego grosza w imię wyższych interesów

państwowych, człowiek, który tę bolesną operację gotów jest nawet aprobować, nigdy nie zrozumie, dlaczego w tym samym czasie wydaje się z zabranych mu pieniędzy przeszło dwa miliony na kolejkę, która ma zapewnić widoki górskie dla dobrze odżywionych snobów". Mowa tu była o kolejce na Kasprowy, właśnie wtedy budowanej pod protektorem wiceministra komunikacji Bobkowskiego, zięcia prezydenta Mościckiego.

Innym razem ogłosiłem gwałtowny artykuł przeciw sanacyjnemu Legionowi Młodych, atakując go za jego działalność opartą na oportunizmie politycznym.

Podejmowaliśmy różnego rodzaju popularne inicjatywy, aby uzyskać nowych czytelników. Między innymi zgodnie z ówczesnymi zwyczajami niejaki Foade, Egipcjanin przebywający stale we Lwowie, udzielał na łamach pisma ekspertyz grafologicznych dla czytelników. Takie i inne imprezy nie dały jednak oczekiwanego rezultatu. Nakład spadał i stało się oczywiste, że nie możemy liczyć na jego podwyższenie.

Wówczas doszliśmy do wniosku, że należy podjąć radykalne decyzje, aby rozwiązać sytuację wynikłą w następstwie bojkotu pisma. Wycofanie się z niego nie prowadziło do żadnego celu, ponieważ nie powstrzymałoby to endecji od kontynuowania bojkotu. Jedynym zatem wyjściem stała się likwidacja przedsiębiorstwa, aby umożliwić właścicielom ewentualne wznowienie wydawnictwa, nam wycofanie się z redakcji, a Błażejowskiemu z zarządu przymusowego. Byłoby to jednak rozwiązanie połowiczne, ponieważ mogłoby prowadzić do likwidacji dziennika polskiego bez zastąpienia go inną analogiczną placówką. Postanowiliśmy dlatego, likwidując „Kuriera”, powołać do życia nowy dziennik, już pod naszym wyłącznym kierownictwem i na własny rachunek. Plan był bardzo śmiały i niełatwy do zrealizowania, zakładał bowiem, że pismo miało uzyskać dostateczne warunki niezależności i stać się wyłącznie naszą własnością, pozostającą w naszej dyspozycji.

Stahl, który miał dość rozległe koneksje w sferach ziemiańskich i mieszczańskich, przystąpił do organizowania spółki wydawniczej. Pertraktacje trwały kilka miesięcy, ale zakończyły się pomyślnie.

Kapitał zakładowy pisma złożyła nieduża grupa ziemian wschodniomałopolskich i grupa mieszczan z Janem Kantym Pfauem na czele. Udziałowcy przekazali swoje uprawnienia w ręce Stahla i utworzonej dyrekcji wydawnictwa, w której sami nie uczestniczyli. Spółka nie została wprawdzie oparta na zbyt silnych podstawach finansowych, ale na tyle wystarczających, że umożliwiło to start i gwarantowało pomyślny, zawsze najtrudniejszy, wstępny okres nowego dziennika. Nie pamiętam już wysokości kapitału zakładowego. Spotkaliśmy się również z poparciem kół rządowych. Stahl nawiązał rozmowy z Bogusławem Mie-

dzińskim i rząd zgodził się udzielać nowemu pismu wsparcia finansowego w postaci comiesięcznej dotacji w wysokości 5 tys. zł. Nie było to wiele, ale stanowiło rezerwę ułatwiającą skromną gospodarę w nowym wydawnictwie. Zawarliśmy umowę z drukarnią byłego „Słowa Polskiego”, które po zawieszeniu znajdowało się w zarządzie likwidacyjnym „Ruchu”, kierowanego przez dyr. Pułaskiego. Dyrektorem drukarni i domu był Hoffman, były legionista, starszy, rozsądny pan, z którym współpraca ułożyła się później zgodnie i pomyślnie. Jego żona miała ambicje literackie i obracała się chętnie w kołach lewicujących cyganerii raczej młodszych poetów i pisarzy. Odznaczała się swoistą ekscentrycznością, co nie zawsze ułatwiało z nią stosunki towarzyskie.

Ale pozostawała sprawa zlikwidowania lub przynajmniej zawieszenia „Kuriera Lwowskiego”, bez czego nie mogliśmy uruchamiać nowego dziennika. Zarządca przymusowy, a tym bardziej my jako redakcja nie mieliśmy prawa likwidowania wydawnictwa, a nawet czasowego zawieszenia jego ukazywania się bez zgody właścicieli. Wobec tego zdecydowaliśmy się na metodę jedynie możliwą w istniejącej sytuacji. 19 grudnia 1935 r. do gmachu przy ul. Mochneckiego przybyła sanitarno-techniczna komisja miejska, aby dokonać inspekcji drukarni. Istniały w niej dość poważne niedomagania z punktu widzenia bezpieczeństwa pracy, między innymi wokół maszyny rotacyjnej brakowało siatki zabezpieczającej pracujących przed wciągnięciem w tryby maszynowe. Komisja stwierdziwszy braki zarządziła zamknięcie drukarni do czasu wprowadzenia uzupełnień. Byliśmy poufnie uprzedzeni o zjawieniu się komisji i zsynchronizowaliśmy jej czynności z przygotowaniem do wydania nowego dziennika w drukarni „Słowa Polskiego”. Z chwilą zamknięcia drukarni „Kurier” ukazywanie się dalszych jego numerów zostało uniezwolnione, ponieważ uzupełnienia techniczne wymagały dłuższego czasu. Zawiadomiliśmy bezzwłocznie właścicieli o tym wydarzeniu i przekazaliśmy im drukarnię, gmach i wydawnictwo, sami przechodząc do nowej redakcji.

W REDAKCJI „DZIENNIKA POLSKIEGO”

W trzy dni później wydaliśmy „Dziennik Polski”, który ukazywał się do dnia 22 września 1939 r. Do jego redakcji przeszedł w całości zespół „Kurier Lwowskiego”, uzupełniony kilku nowymi współpracownikami. Objąłem redakcję naczelną pisma, kierownictwo administracyjne powierzyliśmy Stanisławowi Starzewskiemu, główną księgowość Ewie Koniecznej, która na długo przedtem zrezygnowała ze współpracy z „Kurierem Lwowskim”.

Nasze decyzje niewątpliwie ułatwiły sytuację także endecji. Po obję-

ciu na nowo gmachu i drukarni „Kuriera Lwowskiego”, którego nie można było wznowić nie tylko ze względu na techniczne braki drukarni, ale przede wszystkim ze względu na nie zapłacone zobowiązania wobec dłużników, inicjatywę objęli młodszy, likwidując przede wszystkim radykalnie dotychczasową dyktaturę Pierackiego i towarzyszy. Utworzona została wkrótce nowa spółka, w której główną rolę odgrywali Jan Bogdanowicz, Marian Rojek i inni, po czym powołano do życia nowy dziennik, „Słowo Narodowe”, nie obciążone długami „Kuriera” i startujące z nowych pozycji. „Słowo Narodowe” ukazywało się również do września 1939 r., podobnie jak cała prasa lwowska.

W ten sposób rozwiązany został ciężki i długi kryzys. Konflikt pomiędzy nami a endecją zakończył się ostatecznie porażką Pierackiego, zlikwidowaniem jego wpływów w endecji przez samych endeków i ustabilizowaniem się dwu nowych dzienników, z których jeden znalazł się w rękach młodej endecji, a drugi w naszych. Ocenialiśmy ten rezultat jako sukces realizujący zamierzenia, jakie na wstępie projektowaliśmy osiągnąć. Było to równocześnie pomyślne rozwiązanie, zgodne z rozsądną oceną sytuacji i układu sił. Dowodem tego stało się względne uspokojenie atmosfery między nami a młodymi endekami, którzy dzięki naszej akcji doszli wreszcie do głosu na terenie lwowskim i uzyskali własny organ prasowy. Byłoby to niemożliwe przy utrzymywaniu dalszych wpływów grupy starych zarówno w redakcji „Kuriera”, jak i w partii. Wedle najgłębszego przekonania i oceny z perspektywy wielu lat, inicjatywa, w której stanowiłem jedną z głównych sprężyn czynnych przy solidarnej współpracy moich ówczesnych przyjaciół politycznych, okazała się nie tylko słuszna i prawidłowa, ale również skuteczna w ostatecznym bilansie. Tak zaczął się przedostatni rozdział mego przedwojennego okresu życia.

Kiedy po opieczętowaniu drukarni „Kuriera Lwowskiego” Stanisław Starzewski jako administrator borykał się przy ul. Mochnackiego jeszcze przez kilka godzin z likwidowaniem naszej obecności w tym piśmie, ja — zgodnie z poprzednim planem — przystąpiłem od razu do montowania pierwszego numeru nowego organu prasowego, któremu nadaliśmy tytuł „Dziennik Polski”. Redakcja mieściła się w dawnym lokalu redakcyjnym „Słowa Polskiego” przy ul. Zimorowicza 15. Zająłem dawny gabinet Stanisława Grabskiego, w którym pracowali kolejno Roman Kordys, Waclaw Mejbaum i Wojciech Baranowski, redaktorzy naczelni „Słowa”. W tym samym gabinecie pracowali ze mną również Stahl i Piszczkowski. Wstępne przygotowania, polegające głównie na złożeniu materiału do pierwszego numeru i na różnych nieodzownych czynnościach administracyjnych, zajęły zaledwie dwa dni.

W dniu 21 grudnia 1935 r. ukazał się pierwszy numer „Dziennika”. Jako wydawca figurowało „Małopolskie Wydawnictwo we Lwowie, spółka z ograniczoną odpowiedzialnością”. Dyrekcję Wydawnictwa tworzyliśmy we czterech: Zdzisław Stahl, który był jej przewodniczącym, Stanisław Starzewski, Mieczysław Piszczkowski i ja.

Na samym wstępie, jeszcze przed wydaniem numeru, nastąpiło jednak nieoczekiwane przeze mnie spięcie pomiędzy mną a moimi trzema przyjaciółmi. Kiedy doreczono odbitkę drukarską ostatniej strony pisma z podpisami wydawcy, odpowiedzialnego redaktora i redaktora naczelnego, a podpisałem siebie jako pełniącego te dwie ostatnie funkcje zgodnie oczywiście z poprzednio ustalonym porządkiem, moi trzej koledzy sprzeciwili się nagle figurowaniu mego nazwiska jako redaktora naczelnego i oświadczyli, że nie należy go w ogóle podpisywać. To wystąpienie uświadomiło mi, że taktyka Stahla w stosunku do mnie nie uległa zmianie, pomimo że już od dłuższego stosunkowo czasu rozwijaliśmy wspólnie zgodną i — zdawało się — lojalną wzajemnie współpracę. Mogłem oczywiście postawić sprawę na ostrzu miecza, ale wówczas, dosłownie na kilka minut przed wyjściem pierwszego numeru, nastąpiłby konflikt o konsekwencjach trudnych do przewidzenia dla dalszego ciągu całej sprawy. Zdecydowałem się zatem nie stwarzać problemu wobec sprzeciwu moich, jak mi się dotychczas wydawało, bliskich partnerów i zgodziłem się na usunięcie podpisu redaktora naczelnego, tym bardziej że faktycznie sprawowałem jego funkcję i tego nikt nie kwestionował. Moi przyjaciele, w groteskowy sposób, przyznawali mi tytuł tylko „kierownika redakcji” i tak mnie pożegnali, kiedy w półtora roku potem opuszczałem to stanowisko odchodząc do Warszawy. Była to nomenklatura nie używana i w ogóle nie znana w dziennikarskiej praktyce. Niestety, jednak współpracowałem z dwoma niedziennikarzami i laikami w tej dziedzinie. Był nim zarówno Stahl, jak tym bardziej Mieczysław Piszczkowski. Stanisław Starzewski zaś należał w tym czasie do grona ludzi ślepo i bezkrytycznie uległych Stahlowi. W niewiele ponad 10 lat później, bo podczas pobytu we Włoszech po zakończeniu II wojny, tym trudniej było mi zrozumieć żywołą i nieograniczoną nienawiść i pogardę, jaką Starzewski żywił wtedy do Stahla na tle zresztą nie spraw politycznych, ale ich wzajemnych prywatnych porachunków powojennych, bodaj natury wydawniczo-finansowej. Wówczas we Lwowie w 1935 r. dałem spokój formalnościom w tym gronie, aby uniknąć wewnętrznych kontrowersji, natomiast zająłem się tym dokładniej przestrzeganiem moich kompetencji. W krótkim czasie w redakcji wytworzyłem atmosferę, dzięki której zapewniłem sobie pełną, nieograniczoną lojalność całego zespołu, który — dając temu wyraz — w różnych formach pomijał w pracy

redakcyjnej moich pozostałych współpartnerów, szczególnie Stahla i Piszczkowskiego.

W pierwszym okresie redakcja składała się tylko z kilku osób. Byliśmy ostrożni i oszczędni w wydatkach. Sekretarzem redakcji została Maria Orzechowska, żona jednego z byłych wicedyrektorów Targów Wschodnich. Zaproponował ją Stahl, usiłując w ten sposób zapewnić sobie chociaż jedną zaufaną osobę we właściwym, roboczym zespole redakcyjnym. Nowa współpracowniczka znalazła się jednak wtedy po raz pierwszy w życiu za biurkiem redakcyjnym. Nie wykonywała więc z początku żadnych funkcji ściśle dziennikarskich, ponieważ się na nich nie znała, a ja skupiałem w swoim ręku wszystkie nici redakcyjnego mechanizmu. Sekretarka ograniczała się w nim do funkcji porządkowych. Z czasem jednak nabrała wprawy o tyle, że powierzyłem jej redagowanie tygodniowego dodatku kobiecego „Kobieta i Dom”, tłumaczenia itp. prace. Dzięki wysokiej kulturze osobistej i subtelnej inteligencji, a także dużemu urokowi i wielkim zaletom towarzyskim pani Marysia weszła niebawem w klimat dziennikarskiego życia i stanowiła cenny nabytek w zespole, zawsze zachowując w stosunku do mnie rzetelną lojalność we współpracy i reprezentując niejednokrotnie znaczny krytycyzm wobec swojego niefortunnego protektora. Ten wzajemny, nieprzerwany miły i koleżeński stosunek oparty na wspomnieniach związanych ze wspólną pracą przetrwał między Orzechowską a mną następne dziesięciolecia i odnowiliśmy naszą przyjaźń także po zakończeniu II wojny w nowych i zupełnie odmiennych warunkach.

Do redakcji weszli z „Kuriera Lwowskiego” Aleksander Medyński jako reporter spraw policyjnych i Józef Kanarowski jako referent gospodarczy. Ponadto także z „Kuriera Lwowskiego” podjęli u nas współpracę Tadeusz Bronisław Ulanowski i Marian Ostrowski, obaj zajmując się pracą nocną, oraz Henryk Łubieński. Dział sportowy prowadził Marian Kobiak. Jako korektorki zaangażowane zostały młode, urocze dziewczyny, wśród których znajdowała się m.in. Marysia Gołębska, Zosia Paszkowska i Zosia Groehr. Niezupełnie podołały one swoim obowiązkom i dlatego na tych stanowiskach następowały początkowo dość częste zmiany.

Administratorem dziennika została Ewa Konieczna, późniejsza moja druga żona, stanowiąc z kolei moją „pozycję” w sprawach natury administracyjnej nowego pisma. Natomiast Stanisław Starzewski z ramienia dyrekcji zajmował się całokształtem polityki finansowej i wydawniczej „Dziennika”, ponieważ wymagała ona stałej czujności i sporo nieustannego wysiłku. W administracji pracowali ponadto: Jadwiga Porębianka, dawna działaczka harcerska we Lwowie, kobieta wielkich zalet

i sumienności, Olga Rottenberg, Jadwiga Baurowiczowa, Jadwiga Schneiderówna, Józef Banaszyński, Kazimierz Głogowski, Władysław Turzański, ekspedycję prowadził Marian Kraus, woźnymi byli Jan Brona i Grzegorz Hupało. Cały ten zespół poprzednio pracował w komplecie w „Kurierze Lwowskim” i przeszedł z nami solidarnie do „Dziennika”. W ten sposób upadek „Kuriera” nie pociągnął za sobą bezrobocia tych ludzi, którzy bezzwłocznie otrzymali u nas dalszą pracę. Jako korespondenta stołecznego zaangażowaliśmy w Warszawie Stanisława Błaszczaka. Telefony warszawskie odbierała oddzielnie doskonała i niezastąpiona stenografka Stanisława Serebnicka, współpracowniczką „Gońca Wieczornego”. Wśród drukarzy pamiętam dwu znakomitych zecerów braci Kalinowskich, Lebrechta i metrapaży Langa.

Osobną grupę w administracji stanowili akwizytorzy zajmujący się zbieraniem inseratów. Otrzymywali oni tylko procent od uzyskanych ogłoszeń, cała więc ich szansa polegała na obrotności i dziesiątkach pomysłów nakłaniających klienta do umieszczenia ogłoszenia. Wśród naszych akwizytorów, którymi kierował Banaszyński, pracowali Kamiński, Sobieszczański, Magierowski i Popowicz. Kamiński, Żyd z pochodzenia, zginął tragicznie z rodziną podczas okupacji hitlerowskiej.

Jednym z akwizytorów posiadających jednak szczególną specjalność był Celestyn Storożyński, którego tytułowano majorem, chociaż mieliśmy w sprawie jego stopnia wojskowego bardzo poważne wątpliwości. Podobno w wojsku był tylko sierżantem. Ale ranga wojskowa nie interesowała nas w tym wypadku, ponieważ nie miała żadnego znaczenia w dziedzinie naszego specjalisty od nekrologów. Metoda Storożyńskiego polegała na ścisłej współpracy z zakładami pogrzebowymi i parafiami, które w wyniku umowy jemu tylko wiadomej bezzwłocznie informowały „majora” o każdym zgonie zasługującym na uwagę z punktu widzenia handlowych zainteresowań Storożyńskiego. W każdym razie był on dniem i nocą gotowy do podjęcia ceremonii związanej ze sprawą uzyskania nekrologu. Storożyński, przybrany w czarny garnitur, zjawiał się w domu rodziny nieboszczyka czasem dosłownie w kilka minut po zgonie i w imieniu redakcji (do czego naturalnie nie był upoważniony i w końcu zakazaliśmy mu tej procedury) w wymownych słowach składał kondolencje członkom rodziny. W przeważnej części wypadków to zupełnie nieoczekiwane współczucie przesyłane wprost z redakcji i zdumiewająco wzorowa sprawność w tak szybkim przekazaniu żałobnych słów pamięci wzruszała do głębi obolałych w smutku krewnych i bliskich zmarłego, a to właśnie było zamierzeniem Storożyńskiego. Uczestnicząc w rozpamiętywaniu zasług i życia zmarłego, dochodził w końcu do sprawy nekrologu, szczegółowo ją omawiał i na zakończenie inkasował oczywiście gotówkę. Bardzo

często zostawał na doraźnej stypie, na którą wdzięczna rodzina zapraszała „przedstawiciela” redakcji, racząc go obficie alkoholem, którym „major” nigdy nie gardził. Po zainkasowaniu pieniędzy i ewentualnej „przekasce” Storożyński udawał się do restauracji, spraszał przyjaciół i przepijał tam znaczną część uzyskanej sumy.

Jego umowa z administracją przewidywała bowiem wpłatę określonej sztywnej stawki za nekrolog i nie wnikano w wysokość sumy, jaką Storożyński uzyskiwał faktycznie od klienta. Po całodzienniej libacji „major” na pół przytomny zjawiał się w redakcji dopiero późną nocą, już przed zamknięciem numeru, i przynosił tekst nekrologu oraz „wzmianki redakcyjnej” o zmarłym, wpłacając równocześnie nie zawsze całą kwotę przewidzianą umową. Powodowało to z reguły ogromne zamieszanie natury przede wszystkim technicznej, ale z drugiej strony niepodobna było odmawiać przyjęcia nekrologu, skoro wpływała natychmiast choćby niepełna gotówka. Wydawnictwo nie obfitowało nigdy w pieniądze. Na tym tle toczyły się bez przerwy zatargi ze Storożyńskim, w których chodziło o to, aby dostarczał tekstu i pełnej, należytej gotówki w ciągu dnia lub wczesnym wieczorem. Nie udało się jednak nigdy zmienić jego systemu. Pewnego razu Storożyński w charakterze „delegata” redakcji zastosował swoją metodę w domu zmarłego właśnie byłego namiestnika, hrabiego Leona Pinińskiego, powszechnie znanego profesora uniwersytetu. Sprawa przybrała poważne rozmiary, ponieważ rodzina zwróciła się do nas z żądaniem, że nasz „przedstawiciel” nadużył gościnności wypijając w jej domu przesadną ilość alkoholu. Wówczas zlikwidowaliśmy współpracę z „majorem”, ponieważ jego praktyki, aczkolwiek przynosiły dochód, to jednak plątały nas w zbyt częste kłopoty i konflikty, których Storożyński nikomu nie oszczędzał. Był to jednak oryginał nie pozbawiony pomysłowości, znajomości psychologii i snobizmu ludzkiego i jednak swoistego wdzięku, ale niepoprawny w swoim nałogu. Jego sylwetka, ściśle dostosowana do żałobnych funkcji, nienaganne zewnętrzne formy towarzyskie, dostosowane do makabrycznego zarobkowania, stwarzały niecodzienny typ wykolejénca. Wzbudzał najdalej idące zastrzeżenia, ale równocześnie mimowolną sympatię swoim niepowtarzalnym „stylem”.

W bardzo krótkim czasie wszyscy współpracownicy wytworzyli wyjątkowo zgrany, solidarny i ambitny zespół, co pozwoliło rozwinąć szeroką inicjatywę i wkrótce postawić pismo na wysokim poziomie. Zyskało to „Dziennikowi” duże sympatie w społeczeństwie. Dowodem tego był z jednej strony rozwój pisma, a z drugiej ogromna ilość doskonałych piór, jakie „Dziennik” wokół siebie skupił, wyprzedzając w tej dziedzinie inne polskie pisma Lwowa tych lat.

W pierwszym numerze „Dziennika” redakcja deklarowała: „Poddając

krytyce zagadnienia polityczne, społeczne i gospodarcze, będziemy uwytatniali te wszystkie czynniki, które działają twórczo w rozwoju życia polskiego. Szczególną uwagę poświęcimy sprawom religijnym, narodowym i ekonomicznym. Małopolska Wschodnia, nauka, literatura i sztuka, a zwłaszcza przejawy twórczości religijnej będą miały w piśmie naszym propagatora i popularyzatora”.

W tym samym numerze ogłosiłem artykuł pt. *Niezależność opinii publicznej elementem życia narodowego*, z aluzją wymierzoną przeciw endecji. Pisałem w nim: „Niezależność słowa i myśli w społeczeństwie jest szczególnie ważką okolicznością w życiu publicznym. Trzeba i musi się nie tylko dopuszczać, ale i respektować swobodę wyrażania opinii publicznej. Musi to być jednak szczerą, otwartą i przede wszystkim prawdziwą opinią niezależnego społeczeństwa, a nie inspiracją pokątnych interesów sekciarskich”.

Mieczysław Piszczkowski w drugim artykule pt. *We Lwowie musi się coś dziać* pisał m.in.: „We Lwowie nic się nie dzieje. Przed kilkunastu laty zdawało się nam, że klęską dla Lwowa był powojenny *exodus* całego zastępu wybitnych fachowców, uczonych, urzędników i artystów, którzy rozsypali się po szerokich rubieżach Rzeczypospolitej. Miastu naszemu odebrano decyzję. Wszelkie ważniejsze decyzje dotyczące Ziemi Czerwińskiej zapadają nadal poza Lwowem. Świadomość ograniczenia możliwości twórczych deprymuje Lwowian. Byli przyzwyczajeni do władzy — dziś jej nie mają. Byli czynnikiem odpowiedzialnym narodowo i państwowo — dziś nikt się na nich nie ogląda, nikt ich nie pyta o radę, chociaż o nich właśnie chodzi”.

Czwarty numer pisma wyszedł jako numer świąteczny z okazji Bożego Narodzenia. Przedstawiał się imponująco. Ogłosiłem artykuły 23 autorów: Aleksandra Baumgardtena, Łucji Charewiczowej, Aleksandra Czolowskiego, Kazimierza Czyżowskiego, Jerzego Drobnika, Adama Fischera, Władysława Floryana, Macieja Freudmana, Antoniego Gronowicza, Wiktora Hahna, Klaudiusza Hrabyka, Ryszarda Kiersnowskiego, ks. Zygmunta Kozubskiego, Kornela Krzeczunowicza, Janiny Kilian-Stanisławskiej, Henryka Łubieńskiego, Stefanii Łobaczewskiej, Stanisława Pilcha, Mieczysława Piszczkowskiego, ks. Michała Rękasa, Zdzisława Stahla, Zygmunta Wojciechowskiego i Waleriana Zakliki. Tym wstępnym bojem zdobyliśmy Lwów.

W tydzień później — z okazji Nowego Roku — udałem się po raz pierwszy na przyjęcie do wojewody lwowskiego, aby złożyć życzenia noworoczne w imieniu redakcji „Dziennika Polskiego”. Był to z naszej strony oficjalny akt podkreślający po raz pierwszy odmienny obyczaj w stosunkach z przedstawicielami rządu, których do tej pory — zgodnie ze stanowiskiem endecji — po prostu ignorowaliśmy.

WSPÓLPRACOWNICY „DZIENNIKA POLSKIEGO”

W rok później zestawiliśmy zespół piór „Dziennika”. Było ich 180, wśród nich — prócz wymienionych — wiele najprzedniejszych z ówczesnie znanych nie tylko we Lwowie. Pisali do nas stale w tym pierwszym roku i publikowali swoje wypowiedzi, wiersze, reportaże, nowele, powieści, artykuły m.in.: H. Richter, Leonard Mikuszewski, Andrzej Rybicki, Leon Kaltenburg, Marian Jakóbiec, Tadeusz Piechowicz, Franciszek Pajęczkowski, Wiktor Hahn, Zygmunt Vogel, J. Weleszczuk, W. T. Wisłocki, Marian Tyrowicz, Adolf Chybiński, J. Kanarowski, A. Ślebodziński, Janina Królińska, Kornel Krzeczunowicz, Janusz Makowski, Stanisław Rogowski, Kazimierz Jan Wajda, Jan Hirschler, Stanisław Łempicki, Bolesław Liwoczyński, Wacław Rogowicz, Bronisław Dankowski, Tadeusz Kleszczyński, Witold Romer, Marian Kobiak, Wiktor Rudziński, Antoni Skoczylas, Leon Daniluk, Konstancja Hojnacka, Mieczysław Lisiewicz, Roman Horoszkiewicz, Julian Zacharewicz, Julian Rummel, Stanisław Machniewicz, Zbigniew Orzechowski, Stanisław Sowiński, Witold Ziembicki, Franciszek Schmidt, Piotr Suchodolski, Antoni Ponikowski, Stanisław Ostrowski, Michał Jasiński, Konstanty Żebrowski, Mirosław Żuławski, Teodozja Lisiewicz, Jan Brzoza, Stefan Kawyn, Bolesław Świdzki, Kazimierz Lewicki, Andrzej Stocker, Maria Szczepańska, Stefan Uhma, Wiliam Horzyca, Józef Skrzypek, Tadeusz Jakimowicz, Adam Osuchowski, Józef Kasperek, Gustaw Morcinek, Tadeusz Rakowski, Zygmunt Obmiński, Stanisław Wasylewski, Michalina Grekowicz, Stefan Szczepański, Amelia Łączyńska, Witold Minkiewicz, Aleksander Medyński, Rudolf Wacek, Henryk Łubieński, Kazimierz Brończyk, Tadeusz Kwaśniewski, Franciszek Podlewski, Józef Mayer, Jan Kudelka, Tadeusz de Hryczynic, K. Sobańska, Tadeusz Ulanowski, Alfred Łaniewski, Maria Orzechowska, Tadeusz Banaś, Stanisław Krasicki, Maria Wrześniewska, August Zierhoffer, Wincenty Śmiałek, Maria Grzędzielska, Zygmunt Ormiński, Bronisław Dankowski, Jerzy Zarzycki, Ludwik Wohutek, Adam Zieliński, Maryna Broniewska i inni. Wielu z tych autorów reprezentowało świat polskiej nauki i literatury we Lwowie. Poświęciliśmy dużo uwagi i troski odcinkowi powieściowemu i nowelistycznemu. Na łamach „Dziennika” drukowali kolejno: Beata Obertyńska *Bajkę o pertach*, Maria Wrześniewska *Rok Boży*, Józef Bieniasz *Wilki wyją*, Henryk Łubieński *Trochę słońca*, Jerzy Mariusz Taylor *Jad słońca*, Jan Brzoza *Kamienicę czynszową*. Tę ostatnią prezentowaliśmy czytelnikom następująco: „Dzieje mieszkańców czynszowej kamienicy to dzieje heroicznym zmaganiom się z losem. Ich drobne walki i małe wysiłki urastają w epos bohaterstwa”. Drukowanie powieści Brzozy wynikało z mojej ambicji wnikania w skomplikowane, głębsze tematy społeczne. Starłem się wyjść poza granice

szablonów modnych w tym czasie w literaturze polskiej. Brzoza jako pisarz-robotnik był zjawiskiem nowym i fascynującym w literaturze. Byłem szczególnie dumny zarówno z tego, że zaofiarował nam swoją powieść, jak i z tego, że mieliśmy w ten sposób okazję wykazania naszej odrębnej postawy, odbiegającej od istniejącej manieri.

Drukowaliśmy także powieść sensacyjną Ottona Soyki pt. *Akta T*. Naszym karykaturzystą był Toegel. Łubieński-Rykowski wypełniał codzienny felieton *Pod prąd*, Ulanowski zamieszczał w odcinku cotygodniowe felietony o krańcach Lwowa, Antoni Gronowicz ogłaszał reportaże. Interesowaliśmy się również życiem twórczym Rosji: W. Wisłocki ogłosił m.in. artykuł *Po zgonie Maksyma Gorkija*, drukowaliśmy też *Inteligentnego psa* M. Zoszczenki. W kwietniu 1936 r. nasz przedstawiciel Liwoczyński wziął udział w pierwszym rejsie „Batorego” do New Yorku.

Do szczególnie oddanych przyjaciół piśmnia zaliczało się znaczne grono zwłaszcza młodych pisarzy i publicystów, ale nie brakowało starszych. Oprócz „Rybaltów”, z którymi odbywaliśmy wspólne, nie kończące się rozmowy na temat ich wierszy i w ogóle materiału przeznaczanego do druku, darzyli nas wielkim, serdecznym zaufaniem m.in. Janina Kilian-Stanisławska, młoda, urocza i bystra recenzentka wystaw sztuki, gruby, pogodny, jowialny i doskonale zapowiadający się felietonista Zygmunt Vogel, który popełnił później samobójstwo, impulsywny poeta Antoni Gronowicz uchodzący za radykalnego niemal komunistę burzącego świat i wydającego tomiki pełne białych plam świadczących o interwencji cenzury, starszy od nas Józef Weleszczuk, który współpracował z nami od dawna, zasilał pismo recenzjami muzycznymi, młody Andrzej Stocker, któremu śniły się zaoceaniczne wyprawy i przygody morskie, Maria Wrześniewska, debiutująca literatka i powieściopisarka, młodzianka, śliczna dziewczyna o wielkim talencie z dużą, samodzielną koncepcją i wizją; spotykałem ją później już jako Kruczkowską w czasie okupacji hitlerowskiej w Warszawie, kiedy jako młoda matka przerażała nas systemem hartowania małego oseska wystawianego w kołysce na balkonie bez względu na pogodę. Strawiona gruźlicą Wrześniewska-Kruczkowska zmarła podczas wojny. Wiernym, niezłomnym naszym przyjacielem był Józef Bieniasz, syn chłopski z Jodłowa w Rzeszowszczyźnie, uroczy kompan i utalentowany pisarz, który od niedawna zdobywał miejsce w literaturze i był naszym najgorliwszym sprzymierzeńcem. Należał do wtajemniczonego klanu młodych członków redakcji znikających często w zaułkach zakonspirowanych knajp lwowskich, gdzie przy wspólnych libacjach pozbywano się skromnych zasobów gotówki. Należał z Bieniaszem do tego grona Ulanowski i Zaderecki oraz dobierani przez nich poeci.

Było nam wszystkim dobrze ze sobą i redakcja stanowiła żywy ośrodek tego zespołu. Nie omijaliśmy jednak także innych możliwości wza-

jemnych kontaktów, wśród nich przede wszystkim cukierni Zalewskiego, czasem Welza przy Akademickiej, kawiarni „Szkockiej” i „lokalów śniadankowych”, głównie „Zakopanego” stanowiącego współwłasność Antoniego Mohra, który w końcu popełnił w nim samobójstwo. Zaglądaliśmy także do Szkowrona przy Kopernika, rzadziej do Lintnera przy Legionów, a wieczorami szliśmy do Hotelu Krakowskiego. „Rybałci” kwaterowali raczej u Edzia w „Atlasie” w Rynku. Do pobliskiego „Koziołka” zaglądali tylko nieliczni z nas, obdarzeni większą gotówką.

Na łamach nowego pisma od pierwszej chwili uruchomiliśmy niedzielny dodatek pt. „Kultura i Życie”, redagowany przez M. Piszczkowskiego, poświęcony w naszym założeniu formowaniu określonej koncepcji w dziedzinie kultury i związanych z nią zagadnień. Intencje te nie zostały jednak zrealizowane. Wyobrażałem sobie zadania dodatku inaczej. Dałem temu ogólnie wyraz w artykule jednego z numerów „Kultury i Życia”, ogłoszonym pt. *Koncentracja myśli i kultury polskiej*. Pisałem tam m.in.: „Jedni dziwią się, inni lekkomyślnie natrzęsają się z tego na pozór dziwnego faktu, że wszystko, co się w tej chwili dzieje w Polsce, porusza się z męczącym oporem, że mało co płynie z wewnętrznego zrozumienia, a prawie wszystko nosi na sobie jakby piętno szablonu. To, co się nazywa w Polsce myślą, co składa się na jej dzisiejszą kulturę i twórczość, jest wsteczne i reakcyjne w stosunku do tego, co idzie i co ma nastąpić, co jest prawdziwie twórczą i postępową nowością i koniecznością. Tkwimy w ciemnych zakamarkach ubiegłego stulecia. Dajemy sobie narzucać przestarzałe i śmieszne przesady, hołdujemy i zachwycamy się przebrzmiałymi hasłami, które w swoim czasie odegrały nawet dużą rolę w cywilizacji ludzkiej, które jednak dzisiaj stały się wskutek zwyrodnienia — załączkami tylko rozkładu i dezorganizacji. Cóż np. znaczy dzisiaj taki zniekształcony frazes, jak wolność słowa i wolność druku? Dla naszych dziadków w XIX wieku był on zasadą, która wyzwoliła to, co było najpiękniejszego i najlepszego w człowieku. Dzisiaj wolność słowa prawie nie służy ludziom dobrej woli i mądrej myśli. Znaleźli się oni ze swoim słowem w mniejszości wobec powodzi słowa używanego przez ludzi złej woli [...] Przystawione muszą być tory kulturalnego wysiłku. Nasza poezja, nasza powieść, literatura, sztuka, cała twórczość umysłowa musi sięgnąć po natchnienie do głębin zbiorowego życia narodowego, aby wydobyc z nich całą potęgę i piękno, aby stworzyć pożywkę dla współczesnego życia polskiego. Błąkanie się dzisiejszych pisarzy i twórców po zaułkach jakichś oderwanych i abstrakcyjnych fikcji i pseudoidei, szukanie człowieka w jego pierwotnych, najniższych instynktach zwierzęcych — jest chodzeniem po omacku, bez żadnego pionu, nie ma nic wspólnego z prawdziwym pięknem, a do kulturalnego dorobku narodowego wnosi co najmniej pesymizm i niewiarę”.

Redaktor „Kultury i Życia” wbrew naszym ambicjom nadał jednak dodatkowi charakter banalny i szablonowy i nie wykazał umiejętności ożywienia tej rubryki pisma bardziej oryginalnym, odrębnym kolorytem i akcentem, ograniczając się do przypadkowych, doraźnie i chaotycznie zbieranych wypowiedzi pozbawionych samodzielnej, oryginalnej koncepcji i kierunku. Sporo w tej metodzie było ograniczającego każdą inicjatywę systemu dobierania autorów raczej przeciętnych niż kontrowersyjnych, bardziej stereotypowych aniżeli wyróżniających się niepokojem myśli, choćby nie odpowiadających zbyt dokładnie ustalonym z góry założeniom, ale wyrażającym twórczy, ożywczy ferment w dziedzinie problematyki kulturalnej. Wskutek tego — o ile sam „Dziennik” stał się wkrótce aktywnym ośrodkiem żywej, agresywnej inicjatywy typu politycznego — o tyle jego niedzielny dodatek kulturalny nie odegrał żadnej roli, stając się niepotrzebnym balastem pisma.

Na tym tle powołana w rok później „Kolumna Rybałtów” stanowiła swojego rodzaju rewelację: Jej historia łączyła się ze sprawą „Sygnałów”, redagowanych — jak wiadomo — przez Karola Kuryluka. Do zespołu tego pisma wchodziłi wówczas m.in. T. Hollender, A. Kruczkowski, S. Karyn, B. W. Lewicki, T. Banaś, M. Promiński, A. Baumgardten i H. Górka.

Czasopiśmiennictwo lwowskie owych lat było dość liczne. Ukazywał się w tym czasie we Lwowie kwartalnik filozoficzny „Eos”, „Pamiętnik Literacki”, „Ruch Słowiański”, „Przegląd Humanistyczny”, „Filomata”, „Kwartalnik Klasyczny”. Oprócz tego wychodziły trzy inne czasopisma typu społeczno-politycznego: „Reduta”, „Tydzień Polski” i „Nowe Czasy”. Wszystkie trzy okazały się jednak tylko przejściowymi efemerydami. „Sygnały” były jedynym pismem czysto literackim i z natury rzeczy skupiały w praktyce większość szczególnie młodszych pisarzy i poetów lwowskich, nie zawsze solidarnych ze stanowiskiem pisma, które wykazywało tendencje niedwuznacznie lewicowe i uchodziło za ośrodek wpływów i penetracji komunistycznej. Nie mieliśmy z tym pismem bliższej łączności. Nie interesowaliśmy się jego działalnością, w gruncie rzeczy nie przywiązując do niej większej wagi. Nie znaczy to jednak, że monopolistyczna pozycja „Sygnałów” jako wyłącznego pisma literackiego na gruncie lwowskim nie nasuwała nam refleksji. Sytuacja narzucała ideę utworzenia drugiego pisma pozwalającego na skupienie tych pisarzy, którzy nie podzielali postawy „Sygnałów”. Ten plan zaprzętał uwagę różnych kulturalnych i literackich kół lwowskich, ale nie miał żadnych szans realizacji, po prostu ze względów finansowych. Literackie pismo lwowskie nie stwarzało widoków dostatecznej poczytności w całej Polsce, ponieważ zaspokajały potrzebę w tej dziedzinie znakomicie redagowane „Wiadomości Literackie” Mieczysława Grydzewskiego, obok których po-

wstało w tym czasie „Prosto z mostu” pod redakcją Stanisława Piaseckiego, reprezentując kierunek narodowo-radykalny. W tej sytuacji nie można było żywić żadnych nadziei, aby ogołoczone w dużej części z wielkich pisarzy środowisko lwowskie mogło zdobyć dodatkowe, wystarczające dla siebie miejsce na rynku czytelnictwa, a lokalny charakter pisma nie wyczerpywał zagadnienia.

W październiku 1936 r. „Sygnały” zostały nagle zamknięte przez władze administracyjne, które dopatrzyły się w nich ośrodka działalności komunistycznej. I właśnie wtedy zgłosiła się do nas grupa młodych pisarzy, z których niektórzy współpracowali dotąd z „Sygnałami”, a inni pozostawali poza nimi, i wspólnie zaproponowali współpracę z „Dziennikiem” na prawach uznania ich samodzielności i niezależności pisarskiej. Ich inicjatywa łączyła się z kontaktem, jaki już raz z niektórymi z nich nawiązałem w 1934 r., oddając im do dyspozycji jeden numer „Akcji Narodowej”. Dotrzymałem wówczas w pełni zobowiązania i nie wpływałem wtedy w żadnej formie na treść tego numeru, w którym publikował również artykuł Karol Kuryluk. Prawdopodobnie ten pomyslny precedens zaważył na decyzji niektórych młodych pisarzy z „Sygnałów”, zwracających się do „Dziennika Polskiego” z propozycją współpracy.

„RYBAŁCI”

Oferta od pierwszej chwili była dla mnie osobiście nie tylko interesująca, ale jak najbardziej sympatyczna, spotkałem się jednak z oporami Stahla i Piszczkowskiego, którzy obawiali się wprowadzania „konia trojańskiego” do naszej placówki prasowej. Obaj reprezentowali zawsze sztywny, doktrynerski punkt widzenia, daleki nie tylko od wszelkiego liberalizmu, ale wrogi jakimkolwiek bliższym kontaktom z kołami wzbudzającymi jakieś podejrzenia typu ideologicznego. Ich sprzeciwy i obawy rozbroiłem jednak nieodpartym argumentem, że młodzi pisarze nie zawładną przecież całą redakcją, ponieważ oddamy im tylko dwie strony pisma w okresie jednego tygodnia, ostatecznie także podlegające naszej kontroli, i gdyby miało się zdarzyć coś krańcowo niezgodnego z naszym stanowiskiem, mamy nieograniczone prawo interwencji. Z drugiej zaś strony gościna, jakiej udzielimy młodym poetom i pisarzom na naszych łamach, wzmocni naszą pozycję w kulturalnych i intelektualnych kołach Lwowa, a także poza Lwowem, i stać się może dodatkowym atutem potwierdzającym i poszerzającym zasięg naszych wpływów. Moja argumentacja i stanowisko przekonały w końcu moich przyjaciół i już 15 listopada ukazał się na łamach „Dziennika” pierwszy numer pisma „Kolumna Rybałtów” (obejmujący 2 strony), organu nowej grupy literackiej. W numerze tym Stanisław Rogowski ogłosił *Wyjazd Parsivala*, Mirosław Żu-

ławski *Drogę do Emaus*, Aleksander Baumgardten wiersze *Wtedy*, Maciej Freudman *Elegię na śmierć Wyganowskiego*, Władysław Turzański *Ziemię Obiecana*. Oprócz wierszy niektórzy z autorów ogłosili swoją prozę.

W słowie wstępnym „Rybałci” pisali o sobie: [jest to] „zespół stojący na gruncie tradycyjnych zasad cywilizacji łacińskiej i narodowej. Rybałci mają ambicje samodzielności wobec szablonów i banałów zarówno skostniałej zachowawczości, jak i filisterskiego marksizmu. Są humanistami w głębszym znaczeniu tego pojęcia i motywem ich światopoglądu artystycznego jest dbałość przede wszystkim o duszę, nie o ciało ludzkie. A więc spirytualizm, nie somatyzm”.

Nie było wprawdzie w tej deklaracji nic rewolucyjnego, ale oznaczała odcinanie się od propagowanego w tym okresie dwoistego „realizmu”, nąganego do aktualnych utylitarnych haseł i koncepcji związanych z tendencjami politycznymi ówczesnego okresu. Młodzi „Rybałci” nie wykazywali skłonności w tym kierunku, co niepokoiło Stahla i Piszczkowskiego, nie stwarzając natomiast dla mnie żadnego problemu. Byłem zdecydowanym zwolennikiem pozostawienia młodemu całkowitej swobody w formowaniu ich postawy i wypowiedzi poetyckich i pisarskich.

Reprezentowałem zawsze przekonanie, zresztą nie tylko w tym wypadku, że wzajemna wymiana poglądów i myśli, dokonywana w tyglu życzliwej, rzeczowej współpracy, jest zawsze najlepszą metodą uzgadniania platformy ideowej nawet w najtrudniejszych warunkach, i w konsekwencji wzajemnego oddziaływania. Nie upatrywałem żadnego niebezpieczeństwa ani zasadzki w grupie młodych, ambitnych, bardzo sympatycznych poetów, którzy szamotali się ze sobą samymi w poszukiwaniu nowych dróg, treści i koncepcji literackiej. To właśnie stanowiło o ich twórczej wartości. Nie przerażała mnie również przeszłość niektórych z nich, związanych z „Sygnałami”, o których miałem zresztą bardzo niedokładne wyobrażenie i nie dostrzegałem w tym piśmie szczególnie groźnej tendencji. Byłem zwolennikiem odważnego, jawnego ścierania się nawet przeciwstawnych kierunków, będąc równocześnie zdecydowanie przeciwny wszelkiemu sekciarstwu ideologicznemu. Sami nie wiedzieliśmy zbyt dokładnie, czy nasza droga jest ostatecznie słuszna i prawidłowa, nie mieliśmy zatem, w moim przekonaniu, prawa do wyniosłego i apriorycznego kwestionowania cudzych poglądów. Wedle powszechnej nadziei miała się wyłonić przyszłość o określonej treści i formie. Obóz rządzący szukał dopiero dalszej koncepcji, a nasza własna decyzja polityczna polegała właśnie na założeniu, że zdołamy zrealizować w tym obozie określony kierunek. Jakże więc można było wysuwać pretensje do poetów, aby byli wykuci od razu z jednej bryły i aby powtarzali zgodnie jedną formułkę? Tego rodzaju postulat był całkowitym absurdem i stąd stanowczo przeciwstawiłem się wszelkiemu „ustawianiu” naszych nowych, młodych

przyjaciół. Wystarczyło mi to, że darzyli nas swoim zaufaniem kierując się do nas, a resztę pozostawiałem naszej wzajemnej współpracy. To stanowisko wzbudzało podejrzenia w gronie moich przyjaciół, skłonnych — oprócz Starzewskiego — do bezwzględnego stosowania metody nie dopuszczającej do głosu i decyzji czynników spoza ścisłego grona elity powołanej — ich zdaniem — do ustalenia zasad i formuł życia. Byłem przeciwny dosłownemu stosowaniu takiej metody i tendencji, chociaż zachowywałem krytyczny stosunek do nieograniczonej swobody porządku demokratycznego.

„Rybałci”, upatrując we mnie sprzymierzeńca i swoją nadzieję, garnęli się do mnie, unikając w miarę możności reszty zespołu naszego kierownictwa. Oprócz pisarzy wymienionych, stanowiących trzon nowej grupy, pisywali w różnych okresach do „Kolumny Rybałtów”: Zdzisław Żygulski, Józef Słotwiński, Bolesław W. Lewicki, Stanisław Kramarczyk, Józef Czechowicz, Krzysztof Popiell, Marian Waaze, Władysław Floryan, Beata Obertyńska (która ogłosiła m.in. wiersz *Gwiazdziste mleko*), Zygmunt Haupt, Tadeusz Żakiej, Maria Wrześniewska, Kazimierz Brończyk, Willam Horzyca, Stefan Grabowski, Teodor Parnicki, Stanisław Teisseyre. Winiętę do „Kolumny” wykonał Zygmunt Haupt. Ten bodaj niepełny wykaz nazwisk wskazuje, że „Kolumna Rybałtów” skupiła spory zastęp młodych i niektórych starszych pisarzy upatrujących w niej odpowiednią dla siebie platformę wypowiedzi literackiej. Byłem z tego osiągnięcia szczególnie dumny i uważałem je za sukces wyjątkowego znaczenia. Roili mi się plany, aby z czasem zrealizować samodzielne pismo literackie przy „Dzienniku Polskim” i stworzyć młodym pisarzom lwowskim ich własną trybunę. Te moje plany omawiane poufnie z moimi młodymi przyjaciółmi budziły wśród nich prawdziwy entuzjazm i wiązały ich ze mną jeszcze mocniej. Zapracowałem sobie na nieograniczoną, szczególną zyczliwość kilku z nich: Macieja Freudmana, Zygmunta Haupta, Władysława Turzańskiego i Stanisława Rogowskiego.

„Rybałci” jako grupa uzyskali wkrótce pozycję i popularność w literackim świecie Lwowa i w styczniu doszło do publicznego ich starcia na tle wieczoru literackiego zorganizowanego w Teatrze „Nowości” przez niejakiego Rawera z udziałem jury, do którego zaproszono grono znanych krytyków i osobistości literackich. Zarząd miasta ufundował dla uczestników wieczoru nagrodę, przy czym mieli w nim uczestniczyć Żakiej, Nacht, Jaworski i Hollender. Krytyk literacki Henryk Balk wy stosował wtedy list otwarty do zarządu miasta z zapytaniem, dlaczego organizację wieczoru powierzono Rawerowi, a nie zarządowi Związku Literatów Polskich i dodał, że Ostap Ortwin, wymieniony w jury jako jego członek, został wprowadzony w błąd co do charakteru wieczoru. W następstwie wystąpienia Balka z jury wycofał się Eugeniusz Kucharski

i Ostap Ortwin, którzy o tej decyzji zawiadomili opinię za pośrednictwem prasy. Aleksander Baumgardten ogłosił z kolei oświadczenie, że nie zgodził się na udział w wieczorze jako autor wspólnie z Nachtem i Hollendrem, „jako że pana Nachta nie uważam jeszcze za rzetelnego poetę, a pana Hollendra już za rzetelnego człowieka”. Sytuacja zaczynała być gorąca. Do oświadczenia Baumgardtena przyłączył się Stanisław Rogowski powiadamiający, podobnie jak Baumgardten publicznie, że „nie przyjął udziału w wieczorze powodowany podobnymi motywami, które leżą wyłącznie w sferze oceny wartości artystycznej Nachta”. Ostap Ortwin w dodatkowym oświadczeniu ogłoszonym na łamach „Dziennika Polskiego” wyjaśnił, że publikując decyzję o swojej rezygnacji z jury nie byłby użył, jak Eugeniusz Kucharski, określenia „wybitnych”, pisząc o poetach tego wieczoru.

Wśród tego nawалу oświadczeń „Rybałci” podjęli w odpowiedzi inicjatywę urządzenia własnego wieczoru autorskiego.

Beata Obertyńska ogłosiła w prasie, że bierze udział tylko w wieczorze „Rybałtów” i nie ma nic wspólnego z imprezą Rawera popieraną przez zarząd miasta. Podobne oświadczenia ogłosili artyści teatru miejskiego, Dziewońska i Pietraszkiewicz. Z początkiem stycznia odbył się wieczór „Rybałtów” z udziałem Beaty Obertyńskiej, Aleksandra Baumgardtena, Stanisława Rogowskiego, Mirosława Żuławskiego, Macieja Freudmana i Władysława Turzańskiego. Recytowali ich wiersze: Elżbieta Dziewońska, Tadeusz Kański, Władysław Krasnowiecki, Lech Madaliński i Leon Pietraszkiewicz. Odbył się w Kasynie Literackim przy szczelnie wypełnionej sali i powszechnym entuzjazmie publiczności. „Rybałci” stali się bohaterami dnia we Lwowie. To starcie przyczyniło się do dodatkowego ugruntowania ich pozycji i autorytetu. Na łamach „Dziennika” udzieliłem „Rybałtom” pełnego poparcia i ich sukces był także naszą wygraną.

POJEDYNEK Z KSAWERYM PRUSZYŃSKIM

Jeszcze jednym głośnym incydentem w tych latach był mój pojedynek z Ksawerym Pruszyńskim. Doszło do niego na tle sprawy wymagającej tu kilku słów wstępu.

We Lwowie od czasu walk lwowskich z Ukraińcami w 1918 r. obowiązywał pieczołowicie przestrzegany kult „obrońców Lwowa”, przybierający różne formy. Istniał więc pielęgnowany piękny cmentarz żołnierzy poległych w tych walkach, otoczony pietyzmem całego społeczeństwa polskiego, wydawano albumy i książki związane ze wspomnieniem tych walk, zorganizowano oczywiście Związek Obrońców Lwowa, corocznie odbywały się uroczystości i manifestacje w rocznice walk lwowskich, przy czym wszystko to oznaczało nie tylko oddawanie hołdu pamięci walczą-

cych i poległych, ale służyło również do utrzymywania „ducha obrony Lwowa”, co praktycznie oznaczało szowinizm nacjonalistyczny w stosunku do Ukraińców. Legenda o tych walkach, przemawiająca silnie do wyobraźni społeczeństwa polskiego we Lwowie, nie zawierała żadnych akcentów łagodzących napięcie i nastroje antyukraińskie, ale przeciwnie, wybitnie je podsycala, uniemożliwiając w dużym stopniu uregulowanie stosunków polsko-ukraińskich na rozsądnej platformie wzajemnego stonowania wspomnień o ponurych i złych kartach historii i wysiłku zmierzającego do stworzenia nowej, lepszej atmosfery. Podniecanie opinii publicznej wspomnieniami o „obronie Lwowa” działało oczywiście nie tylko na społeczeństwo polskie, ale również na ukraińskie, wśród którego nacjonałiści ukraińscy w odwecie pracowali z kolei nad wzmaganiem nastrojów antypolskich.

Z perspektywy kilku już dziesiątków lat można obiektywnie stwierdzić, że z polskiego punktu widzenia pogłębianie i w ogóle utrzymywanie tego rodzaju klimatu „obrony Lwowa” na tle walk lwowskich z 1918 r. było działalnością faktycznie nieodpowiedzialną. W ten bowiem sposób, w stosunku do własnych współobywateli, jakimi w państwie polskim byli wówczas Ukraińcy, reprezentujący na znacznym obszarze państwowym zdecydowaną większość, przypominaliśmy im stale co roku, że prowadzili przeciw nam działania wojenne, że w ten sposób protestowali przeciw przynależności do Polski, że nie zapomnieliśmy im tego, a przeciwnie hodujemy w sobie to wspomnienie jako jedno z najbliższych naszemu sercu, że nie zmieniliśmy postawy wrogiej w stosunku do nich i podsycamy nadal te nastroje. Manifestowanie takiego stanowiska wobec kilku milionów obywateli narodowości ukraińskiej, i to w samym centrum obszaru przez nich zamieszkałego, było bezmyślnym prowokowaniem analogicznych reakcji, uczuć i stanowiska wśród Ukraińców. Jeżeli ponadto zważyć, że utrzymywanie takiej właśnie sytuacji i takiego napięcia nastrojów wewnątrz państwa polskiego było jak najbardziej na rękę zewnętrznym siłom wrogim Polsce i przez nie nawet, głównie przez Berlin, popierane i finansowane, to obłądność postępowania polskiego na tym odcinku jest dzisiaj po prostu niezrozumiała. A jednak była ona w tych czasach tabu polityki wszystkich sfer polskich we Lwowie, od prawa do lewa. Od udziału w podtrzymywaniu legendy i gloryfikowania „obrony Lwowa” w duchu ukraiñożerczym nie uchylali się ani socjaliści lwowscy, ani demokraci, ani liberałowie, a prym wiodła w tej akcji endecja wspólnie z sanacją. Związek Obrońców Lwowa był zawsze domeną sanacji. Rolę bohatera odgrywał w tych latach płk. Czesław Mączyński, były dowódca oddziałów polskich w „obronie Lwowa”, człowiek zapewne zacny, ale bardzo przeciętny, nie odznaczający się żadnymi walorami dysponującymi go ani do roli bohatera, ani tym bardziej do pozycji przywódcy.

Otóż jednym z przejawów utrzymywanego kultu „obrony Lwowa” była pamiątkowa odznaka „Orlęta” utworzona po zakończeniu walk lwowskich i nadawana czynnym jej uczestnikom. Z latami przyznano jednak tych odznak bodaj dziesiątki tysięcy, chociaż było powszechnie wiadomo, że w walkach o Lwów łącznie z uczestnikami politycznymi i społecznymi „obrony Lwowa” wzięła czynny udział garstka ludzi, przeważnie młodzieży, nie przekraczająca dwu, może trzech tysięcy osób, a prawdopodobnie jeszcze mniej. Z okazji ustanowienia „Orląt” utworzono „kapitułę” mającą prawo nadawania tej pamiątkowej odznaki. W 1936 r. na czele „kapituły” stał znany lekarz lwowski dr. Lesław Węgrzynowski. Rynek był już jednak tak nasycony „Orlętami”, że „kapituła” była praktycznie nieczynna. Mimo to grupa — nie pamiętam już, czy jej członków, czy ludzi z nią dawniej związanych — podjęła pomysłówą inicjatywę, aby „odnowić” odznakę, wybić zapas nowych jej egzemplarzy i wymieniając stare na nowe, pobierać za to określoną, dość wysoką opłatę. Rzecz polegała na tym, że cele tak planowanego, a bardzo okazałego dochodu nie zostały przez nikogo ani określone, ani ujawnione. „Kapituła” zaprzeczyła swojemu udziałowi w tej inicjatywie. Sprawa przybrała charakter kryminalnej afery wyłudzenia pieniędzy przez pomysłówych organizatorów całego planu. Jednym z organizatorów „wymiany” odznak był znany zresztą we Lwowie docent Kazimierz Hartleb, także „obrońca Lwowa”. Sprawa znalazła się na łamach prasy i przybrała rozmiary publicznego skandalu.

Wtedy to właśnie Ksawery Pruszyński na łamach „Czasu” ogłosił nie podpisany artykuł, w którym nawiązując do afery z „Orlętami” napisał, że wypadek ten najdobitniej ilustruje podłoże atmosfery wytwarzanej wokół legendy i tradycji „obrony Lwowa” i związanego z nimi szowinizmu antyukraińskiego we Lwowie, ponieważ okazuje się, że uczestniczą w tej akcji aferzyści nadużywający „obrony Lwowa” do swoich ciemnych, finansowych interesów. Ton artykułu i jego tytuł *Kramarsko organizowane obchody bojów Lwowa* był w najwyższym stopniu obraźliwy, zważywszy nastrój, jakim od lat otaczana była sprawa „obrony Lwowa”.

Wówczas ogłosiłem podpisaną przeze mnie odpowiedź na łamach „Dziennika Polskiego” również nie pod umiarkowanym tytułem *Haniebny artykuł*, w którym pisałem: „czy sumienie narodowe pozwoliło temu błaznowi z »Czasu«, który to napisał, wykrztusić z siebie publicznie oszczerstwo rzucone w twarz całej ludności polskiej Lwowa i wschodniej Małopolski? »Czas« piórem jakiegoś głupca stara się oplwać wielką i doniosłą robotę, korzystając z tego, że znalazło się kilku ludzi, którzy nadużyli wielkich rzeczy do niskich interesów. »Czas« popełnił podłość. Nie chce się wierzyć, że znalazł się ktoś, kto mógł napisać w ten sposób, jak »Czas«”.

Nazajutrz po ukazaniu się tego artykułu zjawił się w redakcji „Dziennika Polskiego” Ksawery Pruszyński przybyły, jak się okazało, specjalnie w tym celu z Warszawy. Przebieg jego wizyty w redakcji przedstawiał się następująco wedle relacji, jaką dnia następnego ogłosiliśmy na łamach naszego dziennika: „Wczoraj (20 marca) około godz. 10,30 rano przybył do redakcji »Dziennika Polskiego« p. Ksawery Pruszyński i wszedł do gabinetu red. Klaudiusza Hrabyka, gdzie nie przedstawivszy celu swego przybycia, usiłował rzucić się na stojącego za biurkiem red. Hrabyka. Ten jednakże cofnął się w tył i chwycivszy stojącą na biurku lampę, zdzielił nią napastnika, alarmując jednocześnie personel, aby p. Pruszyńskiego zatrzymał. P. Ksawery Pruszyński na wszczęty alarm poczał momentalnie uciekać, przy czym o niezwykłym jego pośpiechu świadczy fakt, że zgubił po drodze, jeszcze w gabinecie red. Hrabyka, portmonetkę z pieniędzmi i kwitami. Zanim zaalarmowany personel wybiegł z innych pokoi, p. Ksawery Pruszyński biegiem zdołał uciec z redakcji, po czym z drugim towarzyszem, który jak się okazało, czekał tuż przed drzwiami na korytarzu, w fenomenalnie szybkim tempie zbiegł po schodach i uciekł ulicą w stronę miasta. Dla pewnego zobrazowania sprawy dodać musimy, że po godz. 10 rano do gmachu redakcji »Dziennika Polskiego« przy ul. Zimorowicza przybyła grupa ludzi, oczekując widocznie na przybycie red. Hrabyka. Grupa ta wspólnie z p. Ksawerem Pruszyńskim uciekła po nieudanym wyczynie. Natomiast przed przybyciem p. Ksawerego Pruszyńskiego do redakcji zjawił się w gabinecie red. Hrabyka jeden z członków tej grupy pod pozorem jakiejś błażej sprawy. Fakty te dowodzą, że niefortunna wizyta p. Ksawerego Pruszyńskiego została w drobnych szczegółach przygotowana i obmyślona, mimo to jednak doznała fiaska. Znaleziona na podłodze po ucieczce p. Ksawerego Pruszyńskiego portmonetka z pieniędzmi i kwitami została oddana władzom policyjnym celem doręczenia jej płochliwemu właścicielowi”.

Równocześnie ogłoszony został policyjny dowód odbioru tej portmonetki, który stwierdzał, że „znajdowało się w niej 22 zł 94 gr i dwa kwity”, zgubione — jak opiewał protokół — w czasie ucieczki z lokalu redakcji „Dziennika Polskiego” przez p. Ksawerego Pruszyńskiego.

Tego samego dnia wysłałem Ksaweremu Pruszyńskiemu sekundantów, wszczynając z nim w ten sposób sprawę honorową. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że Pruszyński zamierzał dokonać zniewagi i przybył w tym celu do redakcji. Okoliczność, że zamiaru swego nie zdołał wykonać, wedle przepisów obowiązujących w sprawach honorowych nie miała żadnego znaczenia. Sama intencja stawała się obrazą najwyższego stopnia. Wymagała zatem satysfakcji tej samej miary, czyli pojedynku: Jednym z moich zastępców był, jak pamiętam, Stanisław Starzewski, ze strony Pruszyńskiego występował m. in. Aleksander Bocheński,

z którym zawsze pozostawałem w przyjaznych stosunkach. Rozmowy zastępców nie trwały długo, ponieważ sprawa była bezsporna. Zdecydowano spotkanie na pistolety z dwoma wymianami strzałów na bardzo bliską odległość, bo bodaj na 10—15 kroków. Dyktowanie warunków spotkania było w tym wypadku moim przywilejem jako obrażonego. Na tzw. *kampfleitera*, czyli prowadzącego pojedynek, uprosiliśmy Mańkowskiego, który miał we Lwowie opinię najświetniejszego i najbardziej doświadczonego fachowca w tej dziedzinie. Lekarzem obecnym przy pojedynku miał być dr L. Węgrzynowski. Zgodził się on, że spotkanie odbędzie się poza Lwowem, na obszarze sanatorium gruźliczego na Hołosku, w którym Węgrzynowski był dyrektorem.

Należy dodać, że pojedynki wedle obowiązującej ustawy były zakazanym przestępstwem i prokurator miał prawo i obowiązek wszczęcia śledztwa przeciw ich uczestnikom i pociągania winnych do odpowiedzialności karnej nawet wtedy, gdy pojedynek kończył się bezkrwawo. W przeważającej części wypadków prokuratura nie wkraczała w te sprawy, albo o nich po prostu nie wiedząc, albo też nie mając o nich formalnego doniesienia ze strony zainteresowanych lub świadków.

Sprawa zajścia w redakcji przybrała znaczne echa wśród opinii publicznej. Odbyło się zebranie byłych żołnierzy posiadających odznakę „Orleńca”, na którym zebrani jednomyślnie twierdzili, że solidaryzują się „bez żadnych zastrzeżeń z artykułem red. K. Hrabyka w »Dzienniku Polskim«, który dał wyraz opinii całego społeczeństwa polskiego”. Równocześnie prezes „kapituły” Krzyża Obrony Lwowa, wspomniany tu już dr Lesław Węgrzynowski, złożył publiczne oświadczenie, w którym stwierdzał: „całkowicie solidaryzuję się z artykułem dra Hrabyka odpierającym napaść Ksawerego Pruszyńskiego. Gotów jestem pod tym artykułem podpisać się, a redakcji »Dziennika Polskiego« serdecznie dziękuję za stanięcie w obronie słusznej sprawy”. Ponadto zebrał się zarząd tzw. Federacji Polskich Związków Obrońców Ojczyzny, skupiającej wszystkie stowarzyszenia ówczesnych kombatantów i byłych żołnierzy, który także potępił wyczyn Ksawerego Pruszyńskiego i solidaryzował się z moim stanowiskiem.

Zarówno te uchwały, jak i oświadczenia wytworzyły powszechnie we Lwowie pomyślną atmosferę w stosunku do mojego wystąpienia i dla mnie jako autora artykułu w „Dzienniku Polskim”, a nieprzychylną dla artykułu Ksawerego Pruszyńskiego w „Czasie” i dla jego próby dokonania napadu na mnie w redakcji „Dziennika”. Była to niewątpliwie forma terroru, który nigdy nie budził sympatii. Ta reakcja społeczeństwa była jeszcze jednym sukcesem na gruncie lwowskim, umacniającym w tym czasie moją pozycję i niwelującym doszczętnie ataki endeckie na tle secesji z partii, „Akcji Narodowej” i innych wydarzeń,

w których wtedy uczestniczyłem. Sprawa Pruszyńskiego przyczyniła się ponadto waleń do dalszego wzmocnienia pozycji „Dziennika Polskiego” i przysporzyła mu znacznej popularności.

Tymczasem odbyłem pojedynek z Ksawerym Pruszyńskim wedle wszelkich reguł i przepisów kodeksu Boziewicza. Zjawiliśmy się z Pruszyńskim w smokingach na zielonej murawie obok sanatorium hołoskiego o godzinie 6 rano. Obu partnerom towarzyszyli sekundanci, zjawił się oczywiście Mańkowski i Węgrzynowski z opatrunkami. Po wstępnych ceremoniach i ostatnim wezwaniu do pojednania się, wygłoszonym przez Mańkowskiego, wręczył on nam pistolety, które odznaczały się tym, że nie miały muszki docelowej. Na dane wezwanie zajęliśmy obaj z Pruszyńskim stanowiska w odległości sumiennie odmierzonej i obróciliśmy się plecami do siebie, podnosząc przedtem do góry kołnierze marynarek, aby odsłonić biel koszuli ułatwiającą celowanie. Na komendę „ognia” odwróciliśmy się szybko na wprost siebie. Strzały należało oddawać natychmiast, bez długiego mierzenia. Zgodnie z ustalonymi warunkami powtórzyliśmy strzały dwukrotnie, za każdym razem — na szczęście — bezskutecznie. Osobiście zamierzałem Pruszyńskiego postrzelić w nogę, ale nie udało mi się tego osiągnąć. Po strzałach niecodzienna ceremonia honorowa była zakończona. Można było podać sobie ręce, co oznaczało w tym wypadku powrót do normalnych stosunków towarzyskich i wzajemne pogodzenie się. Odmówiłem jednak pojednania się z moim partnerem, co było dopuszczalne po pojedynku, i wkrótce opuściliśmy murawę pełni wrażeń i zadowoleni z doskonałego wykonania obowiązku nienaganych dżentelmenów.

Kawalkadą aut dojechaliśmy do miasta i udaliśmy się, oczywiście każdy w swoim gronie, do kawiarni „Szkockiej” na poranną kawę. Byłem przed pojedynkiem po dwu głębokich koniakach wypitych dla kurażu w domu, znajdowałem się więc w pogodnym humorze. Bocheński podszedł do naszego stolika, ponawiając ze swej strony propozycję pogodzenia się z Pruszyńskim, ale znów jej nie przyjąłem. W południe i nazajutrz rano ukazały się w prasie notatki o odbyłym pojedynku między dwoma dziennikarzami, których pełnych nazwisk jednak nie wymieniono, ograniczając się do pierwszych liter. Wymagała tego ostrożność, ze względu na konsekwencje prawne takiego spotkania. Incydent wedle ówczesnych pojęć i przepisów został definitywnie w ten sposób zakończony. Ksawerego Pruszyńskiego więcej już w życiu nie spotkałem. Nie zachowałem o nim ujemnej pamięci, zawsze podziwiając jego duży talent i wspaniałą pasję publicystyczną. W wiele lat potem, po II wojnie, nawiązałem w Polsce życzliwy kontakt z wdową po nim, Marią, która ze mną sporadycznie współpracowała.